

# Festiwal w Berlinie: czy telewizja ma jeszcze ambicje

## Europa podgląda się

KRYSZYNA LUBELSKA

Co to jest kultura białych Europejczyków? W czym jest lepsza od innych? Czarny bohater dokumentalnego filmu „Białe plemie” odbywa ironiczną podróż po Wielkiej Brytanii. Na lotnisku popija cappuccino, w małym miasteczku przygląda się degustacji francuskiego wina, obserwuje lekcje amerykańskiego country, przegryza hamburgera, kibicuje grze w baseball, uczestniczy w pokazach czarnych chippendales, gdzie publiczność stanowią białe dziewczyny. Stara Anglia umarła – konstatuje bohater filmu.

Tak samo nie da się już wskrzesić starej Europy. Jej jednorodna kultura już nie istnieje, poddana wpływom różnych nacji i ras. Zjawisko masowej migracji, wywołane wojnami, prześladowaniami, biedą, stale się rozrasta. Emigranci, chciani czy niechciani, wnoszą do tradycji europejskich krajów nowy system wartości, inny sposób życia. Biali

**Telewizja ma budzić sumienia, a nie karmić publiczność papkowatym repertuarem, ułożonym bez smaku, gustu i wyobraźni. Takie przesłanie można było odczytać z konkursu twórczości telewizyjnej (a także radiowej) Prix Europa 2000, który odbył się w Berlinie. W konkursie wzięło udział 37 krajów, pokazano kilkadziesiąt filmów fabularnych i dokumentalnych.**

poślubiają czarnych, muzułmanie sąsiadują z chrześcijanami, Azjaci w stołecznych aglomeracjach tworzą własne dzielnice.

W tych obrazach nie ma jednak sielanki. Ludzie rzadko bez zastrzeżeń akceptują odmienność innych, nie tylko rasową, ale kulturową i obyczajową. Filmowi bohaterowie bezlitośnie zdzierali więc maski tolerancji z pocziwych europejskich oblicz. Clare, bohaterka filmu „Kolory miłości”, adoptowana przez białą rodzinę uważa ten rodzaj przysposobienia za minowe pole rasizmu. Dobrzy ludzie przyjęli do rodziny małą, czarną dziewczynkę i kupowali jej mnóstwo bananów, bo myśleli, że je bardzo lubi. Czarne dzieci czekają na adopcję o 50 proc. dłużej niż białe, ale zdaniem Clare, te czarne powinny czekać na czarnych rodziców, bo nie daje się przeskoczyć barier rasizmu i inności, nawet w rodzinnym życiu.

Finlandia w 1998 r. przyjęła 400 uciekinierów, ale jej obywatele, dumni z samego faktu, nie zawsze potrafili go zaakceptować.

Losy dwóch somalijskich rodzin, opowiedziane w filmie „Insaha Allah”, zależą od ich fińskich sąsiadów, którzy pragną ich usunąć z okolicy. Sprawa kończy w sądzie, gdzie głównym oskarżonym staje się rasizm, ale także niechęć do wszystkiego, co obce, nieznanne i dalekie.

Co najmniej pół miliona emigrantów znalazło we Włoszech stałe zatrudnienie. Wykonują tam jednak najbardziej brudne prace, na które sami Włosi nie mają ochoty. Za marne pieniądze żyją na granicy egzystencji, dodatkowo pogardzani przez lokalną społeczność. Niedawno, bo zaledwie 40 lat temu, przypomina film „Robotnik Mustafa”, to Włosi poszukiwali pracy w Niemczech, Szwajcarii i USA, gdzie byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii. Historia jednak niczego nie uczy, a jej lekcje łatwo się zapomina.

Kamery różnych krajów towarzyszą uciekinierom i azylantom w ich upokarzającej drodze do zbudowania sobie nowej egzystencji. Europejczycy z wielkim trudem akceptują w swoich krajach nowych, legalnych czy nielegalnych obywateli. Wiele jest niezrozumienia i uprzedzeń po obu stronach, a rzadko pojawia się prawdziwa chęć wzajemnego poznania. Ludzie zamykają się przed obcymi w swoich rodzimych enklawach i nie chcą wychylać nosa poza drzwi. Własne, choćby najmniejsze, europejskie podwórko lepsze zdaje się od perspektywy, którą oferuje szeroki świat. Telewizja daje więc szansę dostrzeżenia, choćby poprzez szklany ekran, nie tylko wyjątkowości odmiennych kultur, ale także człowieczeństwa ludzi innych narodowości, które tak chętnie podawane jest w wątpliwość.

### ■ Bośniacki syndrom

Gorący telewizyjny temat europejski to także losy mieszkańców dawnej Jugosławii, szczególnie Bośni. Muharem, dziennikarz radiowy z Bośni, muzułmanin, znalazł azyl w Szwecji po paromiesięcznym pobycie w obozie koncentracyjnym. Po kilku latach wraca do swojego miasteczka, aby spojrzeć w oczy prześladowcom. Rozmawia z szefem, który usunął go z pracy, z obozowym strażnikiem, z sąsiadami, którzy wyrzucali go z domu. Wszyscy uprzejmie pytają go, czy wrócił na stałe? Muharem odpowiada: Mam prawo do tego miejsca.

Odbywa swoją pielgrzymkę po miasteczku, po wrogach i przyjaciółach, próbując zrozumieć, co naprawdę się stało z nim i z innymi ludźmi. Nieraz ociera łzy, niekiedy bywa po prostu wściekły. Za rozliczanie się z przeszłością trzeba zapłacić wysoką cenę. Ofiara i jej prześladowcy znają inną, tylko własną prawdę, dlatego być może niemożliwe jest przebaczenie. Któregoś dnia Muharem wsiada do samolotu i wraca do Szwecji. Postanawia nadal dzielić los milionów emigrantów.

O bezradności wobec takich konfliktów jak te w Bośni czy Kosowie opowiada film



„Cud Purymowy”, reż. Izabella Cywińska

BBC pt. „Wojownicy”. Brytyjcy żołnierze w 1992 r. przyjechali do Bośni w misji pokojowej. Młodzi, szlachetni i dumni bohaterowie, którym powierzono wielkie zadanie, szybko przekonują się o niemożliwości jego zrealizowania. Zabite dzieci, zgwałcone kobiety, spalone domy. Nie możemy być



„Takiego pięknego syna urodziłam”, reż. Marcin Koszałka

wszędzie, nie możemy pomóc – stale powtarzają żołnierze. Gdy obserwują w telewizji paktujących w sprawie Bośni polityków, wybuchają śmiechem i gwizdzą, bo też czy oni mają pojęcie o tym, co naprawdę się tu dzieje? Po sześciu miesiącach żołnierze kończą misję. Wracają do Anglii z poczuciem winy. „Zostawiliśmy tych ludzi na pewną śmierć” – mówi jeden z nich.

Ta wojna, tak daleka od brytyjskiej wyspy, odcisnęła na nich swoje piętno. Ale nie tylko na nich. Na bośniacki syndrom cierpi cała Europa. Co najmniej kilkanaście filmów fabularnych i dokumentalnych poświęconych było problemom byłej Jugosławii, bo tamtejsza eksplozja nienawiści powinna, zdaniem telewizyjnych twórców, stanowić dla starego kontynentu swoiste memento.

### ■ Mniejszość w mniejszości

Czy nie wystarczy być gejem, trzeba być jeszcze do tego Turkiem mieszkającym w Niemczech? – desperacko pyta bohater filmu „Zagraniczna podróż”. Bycie mniejszością w mniejszości wywołuje lawinę uprzedzeń, zarówno ze strony obcych jak i swoich. Bo przecież nie trzeba być tylko emigrantem, żeby doświadczać prześladowań od tych lepszych i silniejszych. Wystarczy kalectwo, bieda, starość, aby stać się ofiarą w cywilizowanym społeczeństwie. W tę tematykę dobrze wpisywały się polskie filmy dokumentalne, które znamy już ze szklanego ekranu – „Oni” Ewy Borzęckiej o bezdomnych i „Benedek blues” Katarzyny Maciejko-Kowalczyk

o dwóch kalekich mężczyznach, dla których całym światem jest mały pokój, jaki ze sobą dzielą.

Strzałem w dziesiątkę okazało się pokazanie „Takiego pięknego syna urodziłam” Marcina Koszałki, który po projekcji otrzymał gromkie brawa, a także został nagrodzony specjalną Prix Europa. Film nie wzbudził takich zastrzeżeń jak w Polsce, a przeciwnie – podkreślano w dyskusji nowatorstwo formy i śmiałość treści.

Telewizja na Prix Europa wysłała także film pt. „Cud purymowy”. Jest to współczesna opowieść o antysemitach Janie Kochanowskim i jego rodzinie, którzy toczą prywatną wojnę przeciwko Żydom. Wspomagają ich w tym skutecznie inni Polacy.

Pewnego dnia Kochanowski dowiaduje się, że nazywa się Cohen i że otrzymał duży spadek po swoim żydowskim krewnym. W testamencie wymaga on jednak, żeby spadkobierca zachował tradycje rodzinne. Wobec tego zajadły antysemit postanawia zostać ortodoksyjnym Żydem. Jego żona też wyjawia, że jest ukrytą Żydówką. Syn powiada: „Jak już mam być Żydem, to wolę być bogaty niż biedny”.

„Cud purymowy” z założenia ma być filmowym żartem. Pytanie jednak, czy jest sensowne, abyśmy to my właśnie wychylali się na międzynarodowym forum z opowiadaniem dowcipów na tematy żydowskie? Film otrzymał wprawdzie dwie nagrody

festiwalowe, ale nie zmienia to mojej opinii, że w kreowaniu obrazu polskiego stosunku do Żydów tylko potwierdził stereotyp.

### ■ Korzenie

Powrót do domu – to następny temat przewodni dzisiejszej europejskiej twórczości telewizyjnej. Wraca się tam z różnych miejsc, z więzienia, z emigracji, z ucieczki. Powraca się nie tylko do miejsca, ale przede wszystkim do siebie, do własnych korzeni, aby odnaleźć zagubioną gdzieś w życiowej drodze tożsamość. Z tego nurtu wywodzi się szczególnie interesujący dla polskiego widza niemiecki film „Skok czasu”. Waldemar, 27-letni syn niemieckiej pary mieszkającej na Opolszczyźnie, wyemigrował do Reichu. W trakcie odwiedzin Waldemara w rodzinnym domu towarzyszy mu kamera.

Waldemar, rozdarty między Niemcami a Polską, nie umie znaleźć sobie miejsca ani tu, ani tam. Jego rodzice nie mają żadnych wątpliwości, czują, że przynależą do Rzeszy. Ojciec, jak sobie trochę wypije, wyjmując z ukrycia poszarzałe zdjęcia rozstrzelanych ludzi. „To polscy partyzanci” – informuje. Taką ma pamiętkę po ojcu.

Polska to Polska – mówią starzy – a Śląsk to Śląsk, to region, to całkiem co innego. Teraz rozumiemy – odpowiadają młodzi – dlaczego możliwa była wojna w Jugosławii. – Może i tu będzie – odpowiada matka. W tym momencie oglądający ten film w Berlinie wybuchają śmiechem. Tak śmieszny absurdalny myśl o nowej wojnie w Europie. ■